ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XIX Warszawa, dnia 16 Lipca 1927 roku Nr. 29

J. KESSEL i H. IZWOLSKA

27)

ŚLEPOTA WŁADCÓW

Dolin dziwił się, że może rozmyślać o swoich sprawach, wtedy gdy całe zgromadzenie zespalało się, w wielkiem podnieceniu. I chociaż starał skupić całą uwagę, nie ogarniała go gorączka otoczenia. Jakże odmienny był stan jego ducha, wtedy, gdy przemawiał Milukow! Wówczas był jednem drżeniem, obawą! Był cały zmieniony w słuch, chłonął słowa. Minęło zaledwie dziewiętnaście dni, a on siedział na tem samem miejscu, nieczuły i obojętny. Wydało mu się, że to był ktoś inny i taki młody i taki naiwny, że mu się nawet zrobiło żal.

A jednak nastrój mógł się udzielić nawet najtwardszym sercom. To nie była zrównoważona sala z pierwszego listopada. Można by przypuszczać, że ten krótki odstęp czasu wlał w duszę gorycz, czas nabrał ceny, uczucia biły w szybszym rytmie, i zbliżały się wielkie wydarzenia.

Mówca zdawał się być wyrazem tego nowego napięcia. Zamiast surowego i dogmatycznego profesora stał na trybunie człowiek porwany uczuciami mocnemi i szczeremi. Łysy, brodaty, z pokurczonemi mięśniami twarzy. Od lat nie zabierał głosu. A teraz powracał z frontu, od pokręconych ciał, poszarpanych ran i wojskowy mundur z oznaką czerwonego krzyża, który miał na sobie, nadawał mu wygląd fanatycznego rycerza krzyżowego.

Gniew i zapał pożłobił jego twarz. Nie mówił, ale wykrzykiwał groźby i skargi.

A głos nabrzmiewał tak gwałtowną namiętnością, że nawet Dolin pomimo swojego zobojętnienia ulegał stopniowo temu zapałowi. Zdania ciężkie, zdania płomienne zagarniały jego umysł.

— I dzisiaj, tak samo jak wczoraj, czuję płonącą we mnie nieskończoną miłość ojczyzny, nieskończoną miłość mojego władcy... .

„Całe zło pochodzi od sił nadprzyrodzonych...

„Nocą, nie mogę zmrużyć oczu. Przysięgam wam, że nie sypiam. Leżę w ciemnościach i widzę depesze, wiadomości, rozkazy przysłane przez te siły do wszystkich ministrów.

„Jeżeli jesteście naprawdę wiernymi poddanymi to biegnijcie do Głównej Kwatery, biegnijcie do cesarza, rzućcie mu się do nóg i błagajcie go, ażeby was upoważnił do odsłonięcia przed nim strasznej prawdy...

„Wiem, że przez moje usta przemawia cała Rosja bez różnicy przekonań i wyznania, cała Rosja życząca sobie pomyślności swojego cara, swojego kościoła, swojego narodu, cała Rosja zrozpaczona temi dniami cierpień...

„Panowie, panowie trzeba błagać cesarza...

Podczas gdy się zrywała burza oklasków i entuzjastycznych okrzyków, Dolin wodził roztargnionem spojrzeniem po tych co go otaczali. Wtem jego oczy znieruchomiały, i cała dusza Jerzego skoncentrowała się we wzroku.

Oparty o barjerę trybuny stał nieruchomo młody człowiek. Bluza khaki ze złotemi epoletami ściągnięta w pasie i przy mankietach, obciągała piękny, smukły i delikatny tors, przylegała do wązkiej i giętkiej szyi. Twarz, oświetlona przez witraż zdawała się być uosobieniem wiecznej młodości. Czyste czoło zakończone kasztanowatemi matowemi włosami, brwi naciągnięte jak struny, oczy o przedziwnym rysunku, przedłużające się łagodnie ku skroniom. Z pod miękkich powiek o bardzo ciemnych rzęsach uciekało spojrzenie jak dym szaro niebieski. Usta wązkie, wężowe jak na malowidłach Leonarda da Vinci.

Lecz nie ta szlachetna i myśląca uroda pociągała Dolina. Od tego nieruchomego młodego mężczyzny promieniowała dziwna siła tajemnicza i skupiona, a w sposobie bycia istniał jakiś wewnętrzny nakaz.

— Kto to? kim jest ten paź? (uczeń ze szkoły Paziów. *przyp. aut.)* — zapytał Teodor zdumiony znieruchomiałym wzrokiem Jerzego.

Dolina przebiegł lekki dreszcz. Powracał z krainy, która była tak odległa. W tej chwili przypomniał sobie że znał tego archanioła z ikony, i że spotykał go przed kilku laty w salonach.

— Książe Feliks Jussupow — szepnął.

A że książe wstał nagle, Dolin zapominając o całym świecie, zerwał się i poszedł za nim.

VI

D E P E S Z E

19 listopad, g. 22 m. 30

„Wyrubowa. Pociąg Jego Cesarskiej Mości. Główna Kwatera.

„Puryszkiewicz klął zuchwale, ale to mnie nie zabolało. Mój spokój pozostał niezamącony. Bóg was wzmocni. Nie gniewajcie się pomimo złych języków. Zwycięstwo jest nasze, wasz jest okręt i nikt nie ma prawa wstąpić nań. Coby nie było, decydujcie razem. Rada czystych jest rozumem świętych.

„Grigori Rasputin".

19 listopad g. 22 m. 30.

„Wyrubowa. Pociąg Jego Cesarskiej Mości. Główna Kwatera.

„Mój ptaszek z gniazdka, gość litościwej Mamy, jeszcze próba w poniedziałek. To jest parawan i na co jest nam potrzebny ten parawan? Odpowiedzą jeszcze, ażeby zamknąć ogród warzywny. Dajcie to co jest nam potrzebne. Jak wilk dla owiec! O, nie. Cytadela to — Bóg, więźniowie — to dzieci. Dosyć. Niech mój rozum będzie przy tobie, a nie na ziemi.

„*Grigori Rasputin*".

Trzecia Część

KORESPONDENCJA

I

PRZECHADZKA

Nadszedł grudzień. Lodowa powłoka powstrzymała bieg wód. Ulice były pokryte kryształem. Lecz słońce nie ukazywało się wcale. Żółtawo brunatne jednolite niebo ciążyło nad miastem.

— Niełatwo znajdziemy — zauważył Dolin.

Książe Jussupow odparł:

— Wierzę w naszą dobrą gwiazdę.

Byli sami w samochodzie. Jerzy prowadził, gdyż nawet na tym rekonesansie zaprzysiężonych nie chcieli mieć świadków. Samochód jechał przez ulice pełne ruchu. Dolin omijał przeszkody, chociaż dostrzegał je z trudem.

Od chwili gdy Jerzy spotkał Jussupowa u wyjścia Pałacu Taurydzkiego, należał duszą i ciałem do tego młodego księcia, który był uosobieniem słodyczy, tajemniczości i woli.

Jerzy nie widział więcej ani Lizy, ani Teodora Donskiego, ani też Laurentjewa. Czas był wypełniony przygotowaniami do zamachu i rozmowami z księciem. Podczas, gdy rozwijano przed nim plan strasznej nocy, gdy rozdawano role i przygotowywano akcję, Jerzy pozostawał milczący i nieczuły. Rozumiał doskonale doniosłość postanowień i śmiertelny ciężar każdego powziętego kroku, ale dla niego istotne znaczenie miała jedynie młoda twarz o nieprzeniknionym uśmiechu, mgliste oczy, które czasami otwierały się olbrzymie, by rozrzucić snop światła, i powolny wytworny głos rzeźbiący słowa niby cenny oręż.

Na nic innego nie było miejsca. Nawet będąc samym, nawet będąc zamkniętym w swoim pokoju, gdzie spędzał resztę czasu, czuł Dolin tę obecność. Siła, jakiej dotychczas nie chciał uznać, przenikała przestrzeń, przebijała mury. Umysł pozostał nienaruszony, lecz pracował w próżni i obcy był jego głębokiej uczuciowości. Rozum pojawiał się wtedy, gdy przypominał sobie urzeczenie Lizy. A jednak nie posuwał dalej porównań, bo przeczuwał, że przez ich pogłębianie złamie tajemną sprężynę, która mu nakazywała działać.

I Dolin mówił do siebie:

„Idę ślepo za księciem, bo znalazłem w nim skończony wyraz moich splątanych pragnień i mojego buntu. Jeżeli góruje nademną, to dla tego, że śmiał przedsięwziąć to, co ja i tylu innych powinno uczynić już oddawna. Wnosi do swoich zamierzeń najbardziej natchnioną energję i rodzaj szlachetnego wzruszenia".

Ale uspakajając w ten sposób obawy, jakie go dręczyły, Dolin wiedział, że te motywy nie wystarczają, by wytłomaczyć jego przedsięwzięcie. Źródłem ich było to gibkie ciało, o ruchach pełnych wyszukanego wdzięku, twarz ostra, namiętna, zamknięta, której niezwyciężona młodzieńczość mogła pochodzić jedynie z tajemnych źródeł.

Wtedy Dolin myślał o mongolskich Chanach z których pochodzili Jussupowie, o ich przodkach, służących Tamerlanowi, o całym szeregu dzikich wojowników, okazałych książetach — ostatnim i jedynym spadkobiercą był ten młody mężczyzna, zdawać by się mogło, z innej ulepiony gliny, delikatniejszy i subtelniejszy. Czyż nie było w tem wszystkiem fatalnego zrządzenia losu. Czyż nie musiał jakimś wspaniałym, a straszliwym czynem zasłużyć się wobec swych dziadów?

Czyż jego ręce, jego groźne szerokie potężne ręce z dziwnie długiemi mięsistemi palcami nie były wybrane? Coś je obciążało jeszcze mocniej niż pierścienie, które nosił. One jedynie posiadały wagę u istoty pozbawionej wszelkiej wagi. Dolin je widział blisko siebie urobione z krwi, ciała i kości, podczas gdy reszta była dla niego spowita w mgły. Można było rzec, że są odcięte z innego torsu i przyczepione do tego, miały życie własne i zastraszające. Jakaś wróżka zemdlała pochylając się nad temi zbyt silnemi dłońmi.

Dlaczego, gdy książę spuszczał niebieskawe powieki na swoje niezgłębione oczy, wyraz jego zadumanej twarzy stawał się jeszcze bardziej odległym? Jaki cień niewidoczny, czynił jego milczenie ciężkiem i poważnem? Dlaczego, gdy pochylił głowę, odwrócił czoło, wygiął wężowe wargi, lub gdy jakiś odblask odbił się na jego rysach, cała twarz zmieniała wyraz i rysunek?

Nieuchwytny, natchniony, istotnie piękny jak bizantyjscy aniołowie i jak one niepokojący, był książę Jussupow jedynym człowiekiem uzbrojonym w urok, który mógł zwalczyć urok tamtego, brodatego chłopa, zginającego dotychczas najmocniejszych.

Tak śnił Dolin podczas krótkich dni i długich nocy zimowych. W stolicy rozgorączkowanej tanią rozpustą pięciu mężczyzn knuło mord, po którym spodziewali się uzyskać wszystko dla swojej ojczyzny i swojego cesarza. Tak marzył w tej chwili Dolin, zmierzając do ponurego celu swojej jazdy. Rozległ się śpiewny, miarowy i poważny głos księcia.

— Nigdy nie było mi tak lekko na sercu, jak teraz. Nigdy modlitwa nie dała mi tyle ukojenia i mocy. W kościołach, w których klękam codziennie, nie czuję mijającego czasu, ani ciężaru godzin. A przecież nienawidzę krwi, pragnę spokoju i miłości wszystkich ludzi.

Oparł na swojej potężnej dłoni zbyt wątłą głowę, która uginała się od ciężaru tłoczących myśli.

— Wnikasz — zapytał łagodnie — w istotną treść tego, co przedsiębierzemy?

Na kierownicy, zadrżały palce Jerzego. Czuł, że zstępuje do tajnego królestwa, przynależącego do księcia.

(D. c. n.).

1)

DWOREK

NOWELA

Było to swojego rodzaju „sensacją" w pewnych kołach w Tudor Green, gdyśmy się dowiedzieli, że Gibsonowie kupili dworek, by w nim spędzać sobie końcowe dni tygodnia. Jakoś nikt się nie spodziewał po nich takiego wybryku. Ale wszyscy, byli radzi że ci poczciwi ludzie mogli się zdobyć na taki wydatek, bo ich ogólnie lubiono.

Oni też pysznili się tem naiwnie.

— Bardzo przyjemna rzecz — mówiła Angela Gibson. — Mamusia kupiła dworek. Tak, to miło mieć go wyłącznie dla siebie. Niema na nim żadnych długów i żadnych podatków gruntowych do płacenia.

— To istotnie, udało się. A cóż pan Gibson na to mówi?

— Tatuś powiada, że nam się przewróciło w głowie, i że nam się zachciało wielkopańskich zbytków.

I wszyscy się zaśmieli.

Ale Angela zaczęła się unosić nad powabami tego nabytku. A jednym z głównych to, że to była prawdziwa wieś, tak gdzieś na uboczu.

— O pół mili nie widać żadnego dachu — opowiadała. — Musimy to kiedyś powiększyć — jeżeli się czasy poprawią, albo nasz statek powróci.

Los jednak postanowił, że to się nie stanie.

Angela i jej matka pokazywały fotografję swej posiadłości, a po tych wszystkich zachwytach, jakich się o niej nasłuchano, jej skromny wygląd budził pewne zdziwienie. Był to bowiem tylko zwyczajny dworek, ani mniej, ani więcej. Dwaj młodzi Gibsonowie, całkowicie oddani grze w golfa obojętnie się zachowywali, ale ich siostra była poprostu oczarowaną, śniła po nocach o tej małej sadybce i w trakcie tygodnia wymykała się tam i sama jedna przebywała w tej Arkadji po parę dni.

— Ale czy to bezpiecznie? — zapytał ktoś.

— O! najzupełniej.

Później, spotkawszy znajomych na głównej ulicy Tudor Green ożywiona, z tennisową rakietą w jednej ręce a w drugiej z siatkowym workiem na piłki tennisowe, zapełnionym cytrynami i warzywami, jakie właśnie zakupiła, zatrzymywała się i rozpromieniona opowiadała im:

— Co za szczęście! Rodzice odstąpili mi dworek na cały sierpień. Sprowadzę sobie po kolei wszystkie moje przyjaciółki. Dora Brown i Edna Parker przybędą pierwsze. Same sobie będziemy prowadziły gospodarstwo.

Angela była tłuściutką, biało - różową, wesołą dziewczyną i gdyby była trochę wyższą lub trochę mniej zażywnie zbudowaną, można by ją było nazwać bardzo ładną. W każdym razie miała urodę swojej młodości i swojej płci. Bo pomimo całej swej zuchowatości i zupełnego braku tego wszystkiego co matrony w Tudor Green nazywały „bzdurstwami" była nawskroś kobiecą, czyli tego rodzaju istotą, której płeć jest tak wyraźnie uzewnętrzniona zarówno dla tych, którzy jeszcze niczego nie wiedzą, jak dla tych, którzy już oddawna wszystko wiedzą, że starsi panowie z pewnym zakłopotaniem klepali ją czasem po kolanach w autobusach, a małe chłopaczki ściskały ją gorąco i całowały żarłocznie na dziecinnych balikach. Jakby to określić? Oto Angela, pomimo całej koleżeńskości zachowania się względem dorosłych już przyjaciół swoich braci miała w sobie coś, co świadczyło, że natura przeznaczała ją, gdy pora po temu nadejdzie, na żonę i matkę. A my wszyscy spodziewaliśmy się, że Jack Horland, najdzielniejszy z pomiędzy towarzyszy jej braci dopomoże naturze w uskutecznieniu jej zamiarów. Nic nie mogło być odpowiedniejszego. Wychowali się prawie razem, i pan Gibson bardzo sobie tego życzył.

Angela przywiozła ze sobą pierwszą partję swoich gości wieczorem. Trzydzieści mil koleją przejechały wśród nieustającej ani na chwilę gawędy, poczem dreptały pieszo obok wózka naładowanego ich pakunkami i zapasami gospodarskiemi. Ciemność zapadła zupełna, gdy wózek skręcił z gościńca na boczną dróżkę i turkotał hałaśliwie po jej nierównościach, aż zatrzymał się raptem, a woźnica wziąwszy latarnię uwieszoną obok kozła, oświetlił nią ceglaną ścianę, parkan, drzwi i ciągnącą się het czarną pustkę aż do bezkresnego nieba. Stanęły już na miejscu. To był Dworek i wakacje ich zaczęły się.

Angela otworzyła drzwi wielkim kluczem, zapaliła świece, potem olejną lampę i zaczęła wydawać rozkazy woźnicy.

— Tędy, Rogersie. Zanieś te trzy pakunki na górę. A wszystkie ciężkie skrzynie trzeba postawić tutaj.

Spełnił prędko polecenia. Stał z kapeluszem w ręku, podczas gdy Angela płaciła mu należność i dawała napiwek; a światło świecy, jaką trzymała w ręku, padało na jego czerwoną, opaloną twarz i trochę spocone czoło.

— Dobranoc, panienko — rzekł donośnym, wesołym głosem. — Bardzo dziękuję.

Białe zęby błysnęły mu w uśmiechu; odwrócił się i cała twarz zniknęła w ciemnościach.

— Dobrej nocy i przyjemnych snów panienkom.

Panna Edna Parker i panna Dora Brown stały na dworze, przyglądając się dziwacznym przebłyskom latarni, która to ukazywała się to nikła w ciemnościach jak błędny ognik. Wpatrując się z natężeniem w gęste welony wiejskiej nocy, dostrzegały w dali jakby setki wyniosłych drzew stłoczonych razem niby wieże kościelne, a tuż blizko gęsty lasek ciemny i tajemniczy, z którego zdawało się, że lada chwila wyskoczą dzikie bestje lub zaczną się czołgać najwstrętniejsze jakieś ludzkie postacie czarne jak noc, bezlitosne jak przeznaczenie. Panującą dokoła ciszę przerywały raz po raz jakieś słabe, melancholijne odgłosy, mogąc pochodzić z tych nieprzeniknionych głębi, gdzie dzicy ich mieszkańcy dręczyli by jakąś nieszczęsną ofiarę, W rzeczywistości darły się w ten sposób sowy.

— Teraz, moje panny — rzekła żartobliwie Angela — zakasajcie rękawy, zdejmcie pończochy i bierzcie się do roboty.

I wszystkie trzy zaczęły radośnie rozpakowywać rzeczy, zamiatać, rozpalać ogień w kuchni i krzątać się ochoczo koło gospodarstwa.

— Anielu! — zawołała Dora podniecona — to jest wszystko poprostu boskie!

— Prawda! — podchwyciła druga — Anielu! ja sobie zabiorę ten dworek; sama dla siebie i nie oddam ci go. Dobrze?

Na wprost wchodowych drzwi były schody wiodące na górę do dwóch pokojów, małej sypialni w tyle i dużej od frontu, którą Angela nazywała „paradną". Na dole z lewej strony znajdowała się duża izba mieszkalna, będąca jednocześnie kuchnią. Umeblowanie było bardzo proste, ale ładne. Tanie, jaskrawe poduszki na sofie i takież firanki, dębowe krzesła, błękitna porcelana i bronzowe lichtarze. Paradna sypialnia urządzona była ozdobniej. Znajdowało się tu staroświeckie lustro w złoconych ramach nad kominkiem; a na wielkiem łożu leżała wspaniała kapa jedwabna, suto haftowana o koronkowych narożnikach miękka i puszysta w dotknięciu. Łoże to przeznaczane było dla pani lub pana Gibson, albo dla nich obojga razem. Angela kazała swoim gościom ciągnąć losy, która z nich zajmie paradną sypialnię, a która pokoik w tyle. Ona sama będzie spała na dole w kuchni na polowem łóżku, sprzęcie uczynionym z zielonego płótna i prętów politurowanego drzewa, jakim po ojcowsku szczodry Rząd obdarzył jej brata Harolda podczas wojny. Nie idąc za przykładem wielu czasowych oficerów Harold miał ten zdrowy rozsądek, że zachował owo polowe łóżko i teraz przydało się jego siostrze.

Dziewczęta usiadły do kolacji, którą same ugotowały i nigdy im żadne jedzenie tak nie smakowało. Jedząc żartowały, dowcipkowały, uszczęśliwione, pełne radości życia i poczucia czegoś nowego i potrosze awanturniczego.

Ale nawet ten pierwszy wieczór nie obszedł się bez wypadku. Po kolacji wleciała sowa. Panna Dora Brown znalazła ją w paradnej sypialni, która jej przypadła w udziale i wrzasnęła. Sowa nie robiła sobie nic z jej krzyków. Usadowiła się śmiesznie na lustrze, jakgdyby udając orła, który mógł być wyrzeźbiony na ramie, albo, jak powiedziała panna Edna Parker kruka Edgara Allana Poe. Wszystkie trzy dziewczęta stanęły we drzwiach, patrząc na olbrzymie jak się zdawało kształty owej sowy, jej mrugające oczy i nastroszone pióra. Ale co w niej nad wszystko zastanawiające, to dźwięki, jakie wydawała. Słyszały, że sowy sapią, ale ta warczała i chrząkała niby prosię.

— Może to jakaś zła wróżba — rzekła Dora, ochłonąwszy z przerażenia, ale z pewną przesądną obawą. — Co by to znaczyło?

— To znaczy: poprzewracane wszystko do góry nogami na kominku — odparła Edna Parker wesoło — A będzie znaczyć jeszcze więcej, jeżeli nie wypędziemy szkodnika.

Angela wdała się w tę sprawę. Zgasiła świecę, zamknęła sowę samą w ciemnym pokoju i po drugiej stronie drzwi zaczęła głośno klaskać w ręce. Gdy otworzyła znowu drzwi, sowy już nie było. Uciekła, nie zaszeleściwszy nawet skrzydłami, znikła w cieniach nocy, jej naturalnego żywiołu.

— A pamiętaj zapuścić szczelnie firanki, dopóki się nie rozbierzesz i nie zgasisz światła — rzekła Angela stanowczo.

— Dobrze, dobrze — odpowiedziała Dora.

Wkrótce potem dworek utonął w ciemnościach, ale drzwi pomiędzy sypialniami pozostały otwarte i dziewczęta rozmawiały, leżąc w łóżkach.

— Edno! Jaka tu cisza! To coś nowego! Czy czujesz tę ciszę?

— Czułabym, gdybyś nie jazgotała.

— Słusznie. Bardzo dziękuję, panience — szepnęła Dora, cytując różnicę Rogersa. — Jakiś poczciwy człeczyna. Dobranoc. Przyjemnych snów — i w ciemności dał się słyszeć śmiech.

— Czy przestaniecie raz, paple jakieś — zabrzmiał spokojny, stanowczy głos Angeli z dołu. — Powiadam wam, zamknijcie jadaczki.

Zachichotały znowu, westchnęły i usnęły.

Obudziło ich słońce. Nadzwyczajna świeżość letniego poranka wyciągnęła ich z łóżek boso, bez uprzednich ziewań i przeciągań się. Z frontowych okien zobaczyły sosnowy lasek, a poniżej, niby pod jego strażą, pewną przestrzeń porośniętą wybujałemi paprociami, krzakami jeżyn i dzikich malin. Po obciążonej rosą trawie skakały króliki. Dalej podnosił się ku niebu nagi wzgórek wiodący na ogromne pole wrzosów i janowców, a jeszcze dalej widać już tylko było nieskazitelne, sierpniowe błękity.

Dziewczęta pobiegły do tylnego okna i zobaczyły drogę, dachy odległej wioski, a tuż pod oknem ogródek otoczony żywopłotem, pełnym jeszcze róż, powojów i dzikich winokrzewów. W samym ogródku rosła bujna trawa, kilka starych jabłoni i stała studnia, z której Angela czerpała jeż pracowicie żórawiem pełne wiadra wody. Wyglądała bardzo biało i różowo w słońcu, które opływało ją i cały krajobraz niby woda.

— Och! Jak tu ślicznie!—zawołały obie. Jakże często ten wykrzyknik miał im wracać na usta.

Jak łatwo sobie wyobrazić, prawdziwa wieś była czemś niemal odurzającem dla tych dziewcząt, przyzwyczajonych do skąpych powabów przyrody w Tudor Green. Po śniadaniu wybrały się na eksplorację, skacząc i śpiewając. Zachwyciła ich zwłaszcza wioska, jej kamienny kościół, jej maleńka kolejowa stacyjka, gospoda, kuźnia, sklepik pani Butler, poczmistrzyni, sprzedającej wszystko na świecie równie dobrze jak znaczki pocztowe i polecone koperty. W istocie wioska miała wszystko, czego serce lub wyobraźnia mogły zapragnąć. Miała nawet swego miejscowego idjotę, znanego pod nazwą Księżycowego Dicka.

Angela Gibson i jej przyjaciółki zachichotały uszczęśliwione, usłyszawszy ten przydomek, lecz wnet ogarnęła je litość.

— Dzień dobry, Księżycowy Dicku—rzekł wieśniak z kosą na ramieniu, idący białą drogą, wijącą się pomiędzy dwiema wysokiemi groblami.

— Dzień dobry! Dzień dobry! — odpowiedziała ta upośledzona istota, przykucnięta na jednej z grobel.

— Co robisz? Układasz bukiety dla pań?

To było jego zwyczajem. Zrywał dzikie kwiaty i chwasty, co mu popadło pod rękę, wiązał wszystko razem kawałkiem sznurowadła, postronka lub tasiemki, a potem włóczył się za kobietami i dziećmi, ofiarowując swoje niezdarne bukiety.

Zlazł teraz z mokrej od rosy grobli na zakurzoną drogę i podał dziewczętom wiązankę.

— Kwiatki! Śliczne kwiateczki. — zamruczał i stanął, wykrzywiając się pociesznie.

— Cóż za straszydło! — szepnęła jedna z dziewcząt i wszystkie trzy zachichotały.

— Nie! Dziękuję! — rzekła Angela, życzliwie, lecz stanowczo.

Podsunął jej bukiecik prawie pod nos i mówił z pewnem zakłopotaniem i natarczywością, mającą w sobie coś dzikiego:

— Tak! weź. Śliczne kwiateczki.

(D. c. n.).